

## Tadeusz Boy-Żeleński: Spoufalenie się z mądrością

Czym jest Montaigne, kiedy rozpoczyna swą wędrówkę ku świątyni mądrości? To człowiek jak my, który spłaciwszy hojnie dług szaleństwu, opuszcza je, aby iść drogą ku mądrości i dzieli się z nami etapami swej drogi. Człowiek z pogodnym uśmiechem rozmawiający ze swymi współbraćmi o najpotoczniejszych i najwyższych sprawach istoty człowieka, oto na wskroś sokratyczne pojęcie filozofii wskrzeszone przez Montaigne'a – pisał Tadeusz Boy-Żeleński.

Czym jest ta książka, owe nieśmiertelne *Próby*? Czym wytłumaczymy sobie jej żywotność, jej niespożyte trwanie, które sprawiają, iż ta *Silva rerum* niezatrudnionego szlachcica stała się i ciągle jest jeszcze płodnym ziarnem dla tylu najwyższych duchów, przedmiotem rozmyślań i dociekań najbystrzejszych umysłów? Mało która książka była tyle komentowana; każde pokolenie kolejno zaglądało w zagadkową twarz myśliciela i każde wyczytało z niej inną odpowiedź.

Aby rozeznąć się w *Próbach*, gąszczu myśli na pozór bezładnym, kapryśnym i pełnym sprzeczności, trzeba ciągle mieć przed oczami sposób powstania książki. Zatem przypominamy sobie, iż po śmierci ojca, licząc 38 lat życia, Montaigne, porzuciwszy nieodpowiadający jego usposobieniu urząd, usuwa się w zacisze domowe. Wiek szaleństw zostawił za sobą, jest zawsze w pełni sił i życia; w polityce, która przedstawia się naówczas w formie zacieklej walki stronnictw, udziału

brać nie ma ochoty; gospodarstwo nudzi go, nie czuje do niego żadnego talentu; czymże zabić wiejskie nudy? Po trosze oczywiście polowaniem, gośćmi, no i książką. Ten ostatni rodzaj zabawy nie jest mu czymś obcym, kosztował go i wprzód; zwłaszcza lata współżycia z La Boétie pozostawiły jako owoc po sobie wytrawną kulturę literacką. Zakres ulubiony nad inne to autorowie łacińscy; mimo że, jak twierdzi, w szkołach zapomniał nieco tej łaciny, którą troskliwy ojciec wszczepił mu był w kolebce, zawsze zostało mu dosyć, o czym świadczą same *Próby*, najeżone cytatami ze wszystkich niemal znanych podówczas autorów. Po grecku czyta słabo: jednakże wówczas we wszystkich rękach znajduje się francuski przekład Plutarcha, pióra Jakuba Amyot, dzięki któremu cała oświecona Francja, a Montaigne bardziej niż ktokolwiek, żyje pod znakiem Plutarchowych bohaterów. Toż i Diodor z Sycylii ukazał się niedawno w przekładzie Amyota. Montaigne czyta tedy (bez niebezpieczeństwa nadwerżenia sobie oczu zresztą; nie więcej niż godzinę jednym ciągiem, jak powiada); pociąga go przede wszystkim historia, wielcy ludzie, wielkie wypadki; owe potężne odczynniki psychiczne, pod których działaniem dusza ludzka, niezdolna do utrzymania codziennej maski, ukazuje swą prawdziwą postać; wśród tego, dla miłego wytchnienia, poezja jako kunszt słowa, jako zagęszczenie myśli do jej najdobitniejszego wyrazu, jako polor umysłowy. Ale czytanie samo zbyt jest jałowe dla żywego umysłu. Montaigne, obyczajem wielu oświeconych ówczesnych czytelników, pomieszcza własne uwagi na marginesie książki, czasem streszczenie ogólnego wrażenia na końcu. W przykłady spotkane w książce wplątują się wspomnienia rzeczy widzianych lub przeżytych, zestawienia, krytyki, pogłębienia psychologiczne. Z czasem przypiski te rozrastają się, przenoszą na osobny papier i oto plan *Prób* w ich zaczątku. Weźmy pierwsze rozdziały; dziw, jak na ogół ubogie są i suche, jak zdradzają pilnego ucznia starożytnych mistrzów! Stopniowo pióro Montaigne'a odkrywa mu samego siebie: duch jego nabiera skrzydeł, coraz częściej i szerzej szybuje własnym lotem. Jakby w nagłym objawieniu staje mu

przed oczami cel i plan dzieła: to, czego on szuka, to *człowiek*, sama treść jego, ukryta pod najrozmaitszymi formami; dzieło Montaigne'a stanie się *monografią duszy ludzkiej*. Szuka jej w *czasie*, przebiegając myślą wszystkie wieki; szuka w *przestrzeni*, obiegając okiem kulę ziemską, świeżo odkryte jej nowe światy, pod wszelakim niebem łowiąc objawy *tej samej* duszy ludzkiej; wreszcie, jako ostatnią *próbę*, zapaści się w *głąb*, w samego siebie: oto jedyna droga, i jedyna – też względna, niestety! – pewność poznania i skontrolowania psychicznego mechanizmu. Dziwna w istocie książka! Póki ją mamy w ręku, brniemy, zaciekawieni, rozbawieni nieraz, przez ten gąszcz kłócących się z sobą wywodów, wątpliwych anegdot, niedyskretnych zwierzeń; – kiedy oddalimy się od niej, wyłania się we wspomnieniu jakaś organiczna harmonijna całość, wyrasta jakiś potężny tum myśli ludzkiej, w którym ogromny centralny rozdział, *Apologia Rajmonda Sebonda* – człowiek w obliczu nieskończoności – staje się głównym, środkowym ołtarzem: prawda, iż przeznaczonym dla nabożeństwa dość szczególnego obrządku!

[...]

Montaigne jako pisarz jest tedy przede wszystkim *psychologiem*. Nad wszystko zastanawia go ten osobliwy i nieuchwytny przedmiot, jakim jest *dusza ludzka*; śledzi ją w przeróżnych objawach, kontroluje jedne drugimi, zastawia pułapki, ustawia skalę od „duszy Cezara” aż do duszy „poganiacza wołów” i notuje niestrudzenie wspólności ich i różnice. A jest psychologiem szczególnie przenikliwym i dziwną obdarzony intuicją w tym kierunku. Zauważmy, że ten szlachcic bawiący się piórem w połowie XVI w. operuje wszystkimi pojęciami nowoczesnej psychologii: odruchy, stany podświadome, intuicja, sugestia, autosugestia (*O potędze wyobraźni* I, 20), nic nie jest mu obce:

wszystkie te pojęcia wyraża doskonale w swoim języku, prymitywnym niekiedy i dalekim od naukowości, jednakże bardzo ściśle umiającym określić to, o co mu chodzi. Psychologia zwierząt zadziwiająco przenikliwa jak na owe czasy; również zdolność do samoanalizy, niekiedy wręcz autopsychologii eksperymentalnej. Przypomnijmy sobie uwagi jego o sąsiedztwie geniuszu i szaleństwa, z tym rozważeniem, że nie były to, jak dziś, utarte pojęcia i określenia, ale samorzutne myśli, żłobiące własną koleją swój wyraz. To, co czyta i widzi, nieustannie kontroluje samym sobą, spojrzeniem wewnątrz; własny upadek z konia nawet i stan ciężkiego omdlenia umie spożytkować dla swego studium. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, jak pilnym czytelnikiem Montaigne'a był Szekspir, ile zawdzięcza mu tak bardzo *psychologiczny* XVII wiek we Francji, musimy dojrzeć, iż linia rozwoju nowoczesnego piśmiennictwa, w którym psychologia, dochodzenie mechanizmu duszy ludzkiej, przeważającą odgrywa rolę, w bardzo znacznej mierze od *Prób* Montaigne'a wywodzi początek.

Ale Montaigne to natura na wskroś życiowa. „Nie życie dla wiedzy, ale wiedza dla życia”, oto maksyma, którą karmi nas aż do przesyty nieraz, zwłaszcza że zaprawia ją odrobiną jaśnie wielmożnej wyższości bogatego ziemianina. Filozofowanie to w rezultacie rzecz uboczna: żyć to rzecz główna, oto cel, oto zadanie życia i wszelkich nauk. Jeśli Montaigne tak pilnie i wszechstronnie studiuje duszę ludzką, zapewne podstawą tego musi być podłoże bezinteresownej ciekawości; jednakże nie chce on poruszeń jej studiować tak, jak astronom śledzi ruchy ciał niebieskich; raczej tak jak zegarmistrz bada mechanizm sprężynek, aby móc je regulować, ustawiać i naprawiać. Stąd z Montaigne'a *psychologa* wypływa Montaigne *moralista*; i oto druga wielka linia jego dzieła. Nie sposób tutaj analizować kolejno stosunku Montaigne'a do wiedzy, religii, wychowania, państwa, śmierci etc., etc. i niezliczonej ilości kwestii, jakie w ogóle porusza: jak już poprzednio

miałem sposobność zaznaczyć, dzieło Montaigne'a jest to szereg stanów duszy, rój myśli, jakie przesunęły się w ciągu lat dwudziestu przez głowę jednego z najbardziej myślących ludzi, spisywanych z bezwzględną szczerością w różnych epokach, w wieku męskim i starości, w zdrowiu i chorobie, żałobie i weselu, bezpieczeństwie i niepewności. Myśl jego płynie spod pióra tak, jak się nasuwa do mózgu; kapryśna, różnaita, często wręcz sprzeczna ze sobą. W tym siła żywotności Montaigne'a: gdyby był twórcą „systemu”, dzieło jego spoczywałoby zapewne od dawna w pyłe bibliotecznym. Jak zawsze u Montaigne'a, tak i tu, nie tyle uczy nas i wzbogaca cel, do któregośmy doszli, ale droga, jakąśmy z nim przebyli. Uczona książka profesora Strowskiego poświęcona filozofii Montaigne'a subtelnie wyróżnia wszelkie fazy, przez które przechodziło jego filozoficzne *credo*; tutaj trzeba ograniczyć się do tej ogólnej linii: w pierwszym okresie twórczym filozofia Montaigne'a więcej jest z książek, z uwielbienia dla starożytnych i ich naśladownictwa, przy czym najpierw chyli się ku naukom stoików, później łągodzi je bardziej ludzką nutą Epikura, z silną zresztą domieszką pyrronizmu; z biegiem czasu, mądrość jego coraz bardziej staje się bezpośrednia, czerpana z siebie, z tego, co najbliżej ma przed oczyma, z życia. „Najwyższa to doskonałość i jakoby boska, umieć zażywać szczerze swego istnienia. Szukamy innego stanu, dlatego iż nie rozumiemy użytku naszego; wychodzimy poza siebie, ponieważ nie wiemy, jak się zażyć. Próżno wszakże wspinać się nam na szczydła; i na szczydłach trzeba chodzić swoimi nogami; na najwyższym tronie świata i tak siedzimy jeno na własnym zadku. Najpiękniejsze życie jest, moim zdaniem, to, które kształtuje się na wzór pospolity i ludzki, z porządkiem, ale bez cudu i bez przekraczania miary”. Oto słowa, jakimi zamyka swoje *Próby*. Wśród zamętu i burz huczących dokoła, wśród walk politycznych i religijnych, zdeptania praw, bezpieczeństwa, ludzkich uczuć niemal, Montaigne, przede wszystkim dla siebie, dla własnego spokoju, dziełem swym buduje swoje życie wewnętrzne, odgraniczenie swojego ja. Filozofia starożytna

służy mu zrazu jako rusztowanie; z chwilą gdy czuje, iż gmach jest gotowy, odrzuca całą tę pożyczaną mądrość. W księdze III mówi już niemal wyłącznie od siebie i z siebie.

Z *psychologii* rodzi się ów słynny „*sceptycyzm*” Montaigne'a: *skepto*, znaczy *distinguo*, rozróżniam; w istocie, rozróżnianie, wyłuskiwanie jądra z pokrywającej je łupiny, jest prawdziwą namiętnością, narowem myślowym Montaigne'a, występującym charakterystycznie w jego dziele już od pierwszego rozdziału. Zapuszczając się w istotę rzeczy, badając sprężyny każdej czynności, odkrywa, iż motyw może być sprzeczny z działaniem; iż różne motywy mogą dawać ten sam skutek i na odwrót; uczy się odróżniać „koszulę od ciała”, urząd od człowieka, pozór od prawdy. Obiegając wzrokiem całą dostępną mu kulę świata, widzi, jak bardzo zmienne i różnorakie jest to, co uważamy za nakaz naturalnego prawa i sprawiedliwości; że to, co jest zbrodnią po jednej stronie rzeki, staje się cnotą po drugiej, że „nie masz tak nedorzecznego urojenia, które by gdzieś na kuli ziemskiej nie było przyjęte jako prawem uświęcony obyczaj”. Obyczaje nasze, wierzenia, charakter, są po prostu produktem ziemi i klimatu, tak samo jak fauna i flora. Idąc w głąb, zapuszczając się w duszę ludzką, to *narzędzie poznania* jeszcze dalej posuwa się na drodze *sceptycyzmu*. Z jednej strony zmysły, jedyny przewodnik wrażeń świata zewnętrznego, niepewny i zwodniczy; z drugiej, dusza, równie dowolnie reagująca na te wrażenia, płodząca chimery i niezdolna wyjść ze samej siebie: oto jedyne nasze instrumenty poznania.

[...]

Rezultat olbrzymiej ankiety o człowieku, jaką podjął Montaigne, wypada na wskroś negatywnie. Nie ma ani jednej *ludzkiej* wartości, która by wytrzymała krytykę swobodnego spojrzenia, która by się ostała pod skalpelem porównawczej analizy. Mimo to dzieło Montaigne'a nie jest dziełem burzenia, ale budowania; jest to piękny, miły i wygodny dom mieszkalny, który wzniósł dla siebie i do którego nas zaprasza. Jeśli tak starannie bada każdą cegiełkę, to dlatego, aby dom, w którym pragnie spędzić resztę dni swoich, był trwały i aby się nie rozpadł w proch pod wpływem wstrząśnień lub atmosfery. *Pozytywem* jego dzieła, tym, co wychodzi zwycięsko ze wszystkich *prób*, to on sam, jego ja, które, wśród ciągłego próbowania, bada, poznaje, a równocześnie tym samym umacnia i tworzy. Z cudowną, błogosławioną niekonsekwencją, umie Montaigne zawsze się zatrzymać przed tą ostateczną próbą, która by mogła zburzyć harmonię tego, co mu dała jego szczęśliwa natura. Dobroć, szlachetność, uczciwość, sprawiedliwość, zawsze wyniesie on bez szwanku z tego krzyżowego ognia badań. Dlatego nieodzowne jest zrewidować w tym duchu zbyt ciasną nieco formułkę „sceptycyzmu”, którą przyczepił mu wieczny popęd do symplifikacji. Nie jest chyba bezwzględny sceptykiem człowiek, który kult bohaterów, wielkość duszy, posuwa aż do fanatyzmu; który miłość prawdy pielęgnuje i stawia na takiej wyżynie, iż nawet „przysiężenie wymuszone przez złoczyńcę” powinno być dotrzymane; iż nic, nawet „szkoda własnego kraju”, nie powinno zwalniać króla od danego słowa i wiary. Formy sprawiedliwości, uczciwości i honoru zmieniają się dlań wedle szerokości geograficznej, ale samego ich poczucia nie narusza nigdy. Przypomnijmy sobie, z jakim niesmakiem odsuwa od siebie „sceptycyzm” włoskiego historyka Guicciardiniego, który we wszystkich wypadkach dziejowych widzi jedynie grę niskich skłonności i lichych pobudek! Jak bezwzględnie opowiada się przeciw nauce Machiawela!

Nie zapominajmy przy tym, iż Montaigne, pisząc dla życia i dla żywych, kładł nacisk na te lekcje, jakich potrzebowała najbardziej jego epoka. Otoczony fanatyzmem i okrucieństwem walk politycznych i religijnych, czuje on przede wszystkim potrzebę raz po raz przypominać względność naszych pojęć i to, iż „żadne mniemanie ludzkie nie wydaje się warte, aby dlań żywcem usmażyć człowieka”. Dla fanatyzmu wieku XVI i ortodoksji XVII-go był Montaigne niewątpliwie sceptykiem; nam dziś przychodzi nieraz podziwiać u tego „sceptyka” raczej jego skarby entuzjazmu! I znowu nie po raz ostatni dwoistość oblicza Montaigne'a niepokoi nas swą zagadką.

Sceptycyzm filozoficzny Montaigne'a jest źródłem jego konserwatyzmu. Pod rozmaitą powłoką i pozorami natura ludzka jest zawsze i wszędzie ta sama; nic nie jest w stanie przeobrazić istotnych warunków bytowania człowieka, a wątpliwe korzyści odmiany nie równoważą nigdy wstrząśnień, jakie ta odmiana przynosi. Prawo nie dlatego godne jest szacunku i posłuchu, że jest sprawiedliwe, ale że jest *prawem*; jedynym źródłem jego powagi jest obyczaj, dlatego winni jesteśmy bezwarunkowe poddanie obyczajom, w którychśmy się urodzili: oto *credo* Montaigne'a. „Będziemy przemawiali przeciw niedorzecznym prawom póty, póki nie wywalczymy ich naprawy; zanim to jednak nastąpi, będziemy im ślepo posłuszni”, powiada w dwa wieki później Diderot, na krótki czas przed wielką rewolucją; ale Montaigne nie uznaje i takiego zastrzeżenia! Wyznaje otwarcie, iż tak wielka jest jego obawa i wstręt do odmiany, że mimo wszelkich braków, jakie widzi, gdyby było w jego mocy „wstawić kij między szprychy obracającego się koła wydarzeń i zatrzymać na zawsze jego obrót”, uczyniłby to bez wahania. Do myśli tej powraca Montaigne niejednokrotnie, rozwija ją z upodobaniem i, powiedzmy otwarcie, doprowadza ją niemal do absurdu; refren ten działałby na nas wręcz niecierpliwiająco, gdybyśmy — jak to często trzeba czynić, czytając Montaigne'a — nie uprzytomniali

sobie stanu społeczeństwa, warunków, jakimi był wywołany i zjawisk, na jakie był reakcją: szaleńców, reform i przebudowy, jakie w ciągu lat kilkudziesięciu zmieniły kwitnącą Francję w dymiące pobojowisko. Lepsza mu jaka bądź władza, jaki bądź porządek, bodaj zły i niesprawiedliwy, niż to ustawne zmaganie się, niż bezład i swawola! Francja ostatnich Walezjuszków przypomina mu obraz Rzymu szarpanego wojną domową i na tle tego poczucia z głębokiego przekonania popełnia ten absurd logiczny, iż w równej mierze potępia Cezara, że bezprawnie zagarnął władzę, jak i Brutusa, iż władzy tej, raz zagarniętej, nie zechciał się poddać i targnął się na nią w imię zdeptanej wolności. O dziwna ironio losów! Gdybyż ten zatwardziały konserwator mógł przypuścić, iż w dwa wieki później niefrasobliwy jego dytyramb na cześć niewinności pierwotnego człowieka a przeciw cywilizacji stanie się w ręku Jana Jakuba Rousseau taranem, którym ten rozwaląc będzie mury gmachu społecznego; i że w ogóle większość idei tego ponurego pustelnika, aż do idei nawet publicznej spowiedzi, zaczerpnięte będą z niego, z pogodnego i zadowolonego dziedzica Montaigne! Gdybyż mógł przeczuć, że sielanki jego o Kanibalach staną się kanwą, na której haftować będą aż do przesyty filozofowie XVIII wieku swoje mrzonki, gotując nimi, również bez pełnej świadomości, największą rewolucję świata! Że owej rewolucji, której w ten sposób Montaigne stanie się współwinowajcą, pierwszym i najpilniejszym postulatem będzie zmiecienie z powierzchni owego tak drogiego mu „stanu rycerskiego”, a w ślad za nim wszystkiego, co Montaigne najbardziej cenił i poważał! Bo też dzieło Montaigne'a, mimo swego niestrudzenie głoszonego konserwatyzmu, jest jedną z najbardziej rewolucyjnych książek. Uczynić sobie zabawkę z tego, aby przebiec okiem wszystkie wiary, prawa i obyczaje, wyrzucić je na nice, wykazać ich względność, czczość i bezpodstawność, zaś na końcu złożyć pełen czci pokłon przed autorytetem uznanym za świętość w swej wiosce, to sztuka, na którą nie każdy zdobędzie się z równą pogodą ducha. Łatwo jest „wkładać kij między szprychy”, aby zatrzymać wypadki, o ile się

samemu w danym momencie obrotu koła znajduje — na górze! Nie każdy jest panem rodowego majątku, dziedzicem na Montaigne i filozofem w dodatku, aby raz zdobywszy przekonanie o bezpodstawności i niesprawiedliwości urzędzeń i praw, poddać się im z równym spokojem. Nie da się zaprzeczyć: Montaigne jest nieświadomym rewolucjonistą! Wiek XVII, będący pod znakiem autorytetu, spogląda też nań dość surowym okiem; wiek XVIII przygarnął go z otwartymi ramionami, więcej co prawda grabiąc zeń myśli, niż powołując się głośno na jego powagę.

[...]

Montaigne i Rabelais! dwa te dzieła zestawione razem, cóż za wspaniałe malowidło epoki! Czytajmy Rabelais'go, aby tym lepiej zrozumieć Montaigne'a. Słuchajmy słów harmonijnej filozofii Montaigne'a, równocześnie spoglądając na ów ekran magiczny, na którym nieokiełzana fantazja tamtego mistrza wywołuje korowody groteskowych sylwetek. Ujrzymy nadętych bakałarzy, jak z powagą na obliczu, a z kańczugiem w dłoni, wbijają swoje *barocco* i *baralipton* w głowę nieszczęsnego szkolarza; ujrzymy filozofów zjeżdżających się z dalekich stron dla uczonej dysputy, która rozwija się w szeregu coraz zawilszych sylogizmów, a kończy, po kilkunastu godzinach trwania — na pięści; ujrzymy sędziów słuchających bez zmrużenia oka nieskończonych wywodów i cytacji z Acursa i Baldusa, aby w końcu wydać sprawiedliwy wyrok wedle rzutu kości... w nieskończoność można by przedłużać tę galerię! To zapadające się w mrok przeszłości średniowiecze. Stojący na progu nowej epoki Montaigne jest samą mocą jasności i swobody spojrzenia, mimo swego rzekomego konserwatyizmu, jednym z najdzielniejszych budowniczych nadchodzącej przyszłości.

*Montaigne to natura* powiada Sainte-Beuve. W istocie jest on i pod tym względem człowiekiem Odrodzenia; ale reakcja ta, wołanie o swoje prawa natury buntującej się przeciw uciskowi średniowiecza, nie jest jak u Rabelais'go żywiołowym zerwaniem pętów, ale spokojnie zharmonizowaną afirmacją wszystkiego, co ludzkie. „Chcą się wydobyć z samych siebie i wyzbyć się w sobie człowieka: to istne szaleństwo. Zamiast przemienić się w aniołów, przemieniają się w bydlęta; zamiast wzbić się w górę, uniżają się. Owe humory nadobłoczne przerażają mnie jako miejsca zbyt wyniosłe i niedostępne” (III, 93). Montaigne niczego się nie wstydzi, *niczego nie żałuje*; „Nałożyłem to sobie jako prawo, powiada, aby śmieć mówić wszystko, co śmiem czynić; nierad uznaję nawet myśli niepodobne do objawienia”. Gdyby miał żyć na nowo, żyłby tak samo, jak żył. „*Czyń co chcesz*” Rabelais'owego opactwa Telemy to i jego dewiza; ale szczęśliwy umiar jego natury sprawia, iż chce na ogół jeno dobre. Gdyby ktoś silił się odgadywać, jak mógłby wyglądać idealny mieszkaniec wymarzonego przez Rabelais'go renesansowego klasztoru, nie potrzebuje daleko szukać: znajdzie go w osobie Montaigne'a.

Czym jest Montaigne, kiedy rozpoczyna swą wędrówkę ku świątyni mądrości? To człowiek jak my, który spłaciwszy hojnie dług szaleństwu, opuszcza je, aby iść drogą ku mądrości i dzieli się z nami etapami swej drogi. Człowiek z pogodnym uśmiechem rozmawiający ze swymi współbraćmi o najpotoczniejszych i najwyższych sprawach istoty człowieka, oto na wskroś *sokratyczne* pojęcie filozofii wskrzeszone przez Montaigne'a. I przez to pojęcie, przez ten powrót do *spoufalenia się z mądrością*, stanie się Montaigne symbolicznym niejako drogowskazem kultury francuskiej. Począwszy od Montaigne'a mądrość raz na zawsze wydobędzie się z rąk zazdrosnych stróżów, obwarowujących dostęp do niej barbarzyńskimi formułkami. Montaigne

niweczy ten przesąd, że droga do niej jest stroma i ciernista: przeciwnie, powiada, dochodzi się do niej „lubymi i cienistymi ścieżkami w weselu i pogodzie ducha”. Ta pogoda ducha, ten uśmiech nieodłączny od mądrości, uśmiech czasem pół smutny, czasem zamyślony, ale zawsze ludzki i prawie zawsze dobry, pozostanie również nieodłącznym towarzyszem mądrości galijskiej. *Gaia scienza, die fröhliche Wissenschaft*, o której marzył Nietzsche, przez kilka wieków znachodzi w niej swe urzeczywistnienie.

[...]

Przygarnijmy więc Montaigne'a jak kogoś bliskiego; zżyjmy się z nim nie od święta, jak dotąd niewielu z nas, lecz na co dzień; czytajmy go bez okularów „pietyzmu” i erudycji, nie jako zabytek historyczny, ale jako żywą, poufałą książkę. To nie górny filozof, twórca „systemów” i nie bakalarz przemawiający z katedry; to mądry, doświadczony i swobodny człowiek gwarzący z nami, ludźmi, o naszej wspólnej, ludzkiej doli!

*Tadeusz Boy-Żeleński*

Fragmenty wstępu do przekładu *Prób* Michela de Montaigne'a za WolneLektury.pl